

- *Był pan kiedyś w parku?*
- *Tak.*
- *I jakie wrażenia?*
- *Można spotkać ciekawych ludzi...*

To zdarzyło się kilka tygodni temu, lecz mnie wydaje się, jakby to było wczoraj.

Posłuchacie?

A więc było tak:

Siedziałem na parkowej ławce i przeglądałem mało interesującą, kolorową gazetę, którą kupiłem kilka minut wcześniej dla zabicia czasu, jaki mi pozostał do wizyty u dentysty.

Była śmiertelnie nudna i durna, jak większość lichych brukowców, opowiadających o losach rodzimych i zagranicznych gwiazd i gwiazdeczek kina, muzyki czy sportu, o których za dziesięć lat pies z kulawą nogą nie będzie pamiętać. Jednak przerzucałem bezwiednie strony zmuszając się do lektury. W ten sposób starałem się zabić w sobie lęk przed fotelem dentystycznym, na którym przyjdzie mi niebawem zasiąść i otworzyć grzecznie paszczę, by w ten niewyszukany sposób pozbyć się stanów zapalnych miazgi i odpocząć nieco w bólu.

Była to u mnie sytuacja wręcz kuriozalna z racji nad wyraz zdrowego uzębienia.

Wizyty u zębodłubów przytrafiały mi się nie częściej niż raz na piętnaście lat. Nie było potrzeby – zdrowy materiał. Teraz jednak musiałem przejść swoje. Ząb zaniemógł...

- *Czy mogę się przysiąść?* – usłyszałem nagle gdzieś nad sobą kobiecy głos.
- Spojrzałem w górę i wnet dostrzegłem młodą dziewczynę, przed trzydziestką, jasną blondynkę, o śmiesznej, filuternej twarzy, w której było coś dobrego – jakiś pozytywny blask promiennie rozjaśniał jej oblicze w sposób naturalny i niewymuszony. Budziła zaufanie i bliżej niesprecyzowane radosne odruchy duszy. Przy mojej skomplikowanej, pełnej wybujałego narcyzmu naturze, nagle i spontaniczne wywołanie sympatii było wręcz niemożliwe, jednak nie broniłem się przed intrygującą sytuacją.
- *Nie przeszkadzam?* – spytała niestremowana.
- *Ależ skąd. Niech pani siada* – odpowiedziałem i ustąpiłem jej miejsca na ławce.
- *Życie jest szalone* – rzekła poważnie i jednocześnie jakoś niefrasobliwie. W jej głosie pojawiła się nieznana nuta czegoś, co bez wątpienia nazwałbym lekką prowokacją, lub przynajmniej, małym kuszeniem losu. Szybko skróciła dystans między nami, co wydało mi się dość zagadkowe. Ale cierpliwie obserwowałem dalej. Zawsze lubiłem otwarte, czytelne kobiety.
- *Nie wątpię* – odparłem.
- *Nic nie wiadomo...*
- *Tak, nic nie wiadomo.*
- *Pan wierzy w przeznaczenie?*
- *Tak.*
- *W to, że jeśli dwoje ludzi jest sobie pisanych, nic i nikt tego nie zmienia?*
- *Dokładnie.*

Przez chwilę nie mówiła nic, jakby coś obmyślała. Marszczyła czoło jak małe dziecko, które jeszcze nie wie, jaki prezent da mu tata, który akurat wyłonił się z korytarza z wielkim, zielonym workiem.

Uśmiechała się do siebie, lecz wewnątrz kotłowało się od myśli.

Jednak po jakimś czasie odezwała się ponownie:

- Pan wie, że to nie przypadek?

- Co? – spytałem szczerze zdziwiony.

- Nasze spotkanie.

- Jak to?

- Pan często siada tu na ławkach. Wiem to, bo widziałam. Parę razy. Lubi pan tu zaglądać.

W zeszły piątek siedział pan tam, pod tymi drzewami – mówiąc to, wskazała mi miejsce drzemiące w ci-
chym uśpieniu.

Trochę mnie to zaskoczyło, gdyż zaiste tak było – nie spodziewałem się takiej odpowiedzi i przedziwnej, tajemniczej szczerości, o której jeszcze nic wówczas nie wiedziałem, co oznaczała i z czym mogła się ewentualnie wiązać. Trudno mi było pozbierać myśli, kiedy nagle rzucony na morze niewiadomego miałem rozwiązywać tajemnicze równania z wieloma niewiadomymi.

- Pani poważnie? – zapytałem.

- A tak – odparła bezpretensjonalnie.

- Ale co tak?

- Że pana obserwowałam.

- Czemu?

- Pan tak bardzo przypomina mojego ojca. Nieboszczyka. Zmarł dwa lata temu na raka.

- Do czego pani zmierza?

- Pan jest samotny? – jej pytanie spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. Dostałem nim po łbie jak zar-
dzewiałym szpadlem. Jakoś dziwnie zabolalo. Było jak czesanie pod włos. Uświadomiło mi bowiem dot-
kliwie, że nigdy nie umiałem nikogo kochać. Wystarczało mi lustro. I praca nad własnym ciałem, go-
dziny ćwiczeń ze sztangą, samouwielbienie i odżywki, odżywki i samouwielbienie. Kiedyś miałem żonę,
ale poszukała szczęścia gdzie indziej.

Choć przekroczyłem już czterdziestkę, nie przeszedłem żadnej przemiany.

Po chwili namysłu, odpowiedziałem:

- Żyję sam, to prawda, ale skąd pani może to wiedzieć?

- Kobieca intuicja – uśmiechnęła się przewrotnie.

- To naprawdę interesujące.

- Mój ojciec też miał takie włosy i oczy. I sylwetkę.

- Miło mi.

- Pan się ze mną spotka pojutrze w zajeździe „U Drżącego Billa”, ok.?

- Czemu?

- Nie domyśla się pan?

- Nie znam pani.

- Ale ja już znam pana. Z widzenia. To w zupełności wystarczy.

- Do czego?

- Do tego, by dać głos przeznaczeniu.

- Nie rozumiem.

- Pojutrze pan zrozumie. Niech mi pan zaufa. Czekam. Nazywam się Mina Mazzini, jestem Włoszką, ale
mieszkam w pana kraju, odkąd... - tu nagle urwała, jakby się czegoś przełękła.

- A jeśli nie przyjdę? – spytałem zaczepnie.

- Przyjdzie pan. Wiem to i pan to wie.

Miała naprawdę dobre, jasne spojrzenie – jak mogłem jej odmówić.
Wyczuwałem naturalną uległość, którą tak bardzo kochałem u kobiet, działającą mocno na moje ego i bujną wyobraźnię. Dawało to obietnicę tego, co lubiłem – absolutnego oddania.
Przeglądałem się w ich oczach i rosłem ku niebu, piękniejszy i silniejszy.
Tamtego dnia nie poszedłem do dentysty.
Rozmawiałem jeszcze długo z Miną o wszystkim i niczym, jak nieznajomi w wielkim, niezwykłym świecie, w którym było miejsce na przypadkowość i przeznaczenie.
A może zawsze były to dwie strony tej samej monety?

Rok wcześniej, po odejściu od Rity, zakotwiczylem się u Sabiny, pulchnej Polki o wielkim, naturalnym biuście i iście gołęmbim sercu, która gotowała mi pierogi z mięsem i śpiewała rzewne słowiańskie kołysanki, kiedy spity do nieprzytomności wracałem po spotkaniach w tanich barach z ludźmi, z którymi robiłem wówczas interesy, ciemne i niewarte wzmianki w tej opowieści, a przynoszące mi konkretne profity i rozgłos.
Nie urodziłem się, by grać drugie skrzypce.

Kiedy Eddie Constantine powiesił się w szafie po ucieczce żony z bogatym Szwedem, pojąłem w mig, że właśnie opróżniło się miejsce w branży i trzeba je stanowczo zająć.
Nie wahałem się nawet przez chwilę – pewne rzeczy dzieją się tylko raz w życiu.
Choć wkrótce potem, na swe nieszczęście, Sabina wylądowała w szpitalu psychiatrycznym z orzeczeniem ostrej psychozy paranoidalnej na tle płciowym, wywołanej najprawdopodobniej kontaktem ze mną, mnie to bynajmniej nie przeszkodziło wejść w interesy pewną nogą, bez kompleksów i z siłą godną starożytnych rycerzy, którzy zdobywali kraj po kraju.

Potem była Emma, która wielbiła moje okazałe mięśnie milionem pocałunków.
Taplałem się z lubością w morzu uwielbienia, czując się jak ryba w wodzie.
I jej usta, nawiedzone przedziwnym dreszczem, błędziły namiętnie po moim bicepsie, tricepsie, po mnie jako takim, kiedy w spokoju ducha piłem zimne piwo, leżąc na łóżku i słuchając jazzu z lat pięćdziesiątych.
Kiedys wyłuskała mnie z tłumu zwykłych, anonimowych twarzy i stwierdziła, że mnie kocha, lecz nie wie, czemu tak jest, ale czuje, że tak właśnie jest i basta.
Dobrze gotowała i była dość cicha – czasem coś mamrotała pod nosem, ale niewiele z tego rozumiałem.
Czułem do niej coś na kształt sympatii z domieszką zrozumienia, tak, jak rozumie się starego, pocziwego konia, który w kłapkach na oczach idzie w nieznanym sobie kierunku i rży radośnie od czasu do czasu, bo zapewne za chwilę dadzą owies albo cukier i życie końskie stanie się piękne.
Koniec nie był taki kwiecisty – moja pani wyskoczyła z okna i okrutnie zbeczczyła sobą chodnik, który nigdy dotąd nie zaznał ataku samobójcy.

„Pojutrze pan zrozumie. Niech mi pan zaufa. Czekam. Nazywam się Mina Mazzini”...

Hm...
Nie wiedziałem, co o tym wszystkim sądzić.
Dlaczego zwróciła uwagę właśnie na mnie?
Na pierwszy rzut oka niczym nie różnię się od innych mężczyzn.

Miałem dwa długie dni do spotkania w zajeździe „U Drżącego Billa”.
Ciekawiło mnie w zasadzie jedno: czemu one tak bardzo mnie kochają, skoro nie zrobiłem absolutnie nic,

by zaskarbić sobie ich uczucie. Byłem człowiekiem z ulicy, pozornie nikim.
Przecież nawet nie kiwałem palcem, aby się im przypodobać, a tu masz: miłość!
To zakrawa na jakiś absurd.
To się jednak obok mnie dzieje, wchłania, w tym się niejako zatracam.
I po swojemu akceptuję.

W umówiony dzień pojawiłem się elegancko odziany w zajeździe, kolorowym jak ubiór podrzędnego clowna z cyrku na zadupiu, podniecony i drżący, bez wyraźnych przeczuć, co może mnie tu spotkać. Rzecz jasna, czułem podskórną, że moja nieznajoma z parku otworzy mi szybko oczy, ale co do sposobu, nie miałem jasnej wizji. Po prostu zdawałem się na czysty spontan. Czasem tak trzeba. To jedyna droga. Zaufałem intuicji – tego głosu nigdy nie ignorowałem.
Stałem przez chwilę przed wejściem i łowiłem uchem dźwięki dobiegające z miasta.
Wyjąłem papierosa i zapaliłem – nie było pośpiechu.
Puściłem ustami kółko, potem drugie i kolejne.
Chciałem rozegrać to po swojemu, bez warunków narzuconych z zewnątrz.
Nie lubiłem tego i nigdy nie akceptowałem.
Zawsze grałem według własnych zasad i tym razem miało być podobnie.
W kieszeni miałem nóż sprężynowy, na wszelki wypadek. Licho nie śpi. Byłem po prostu przytomny.
Mózgu nie zostawiłem w szafce nad zlewozmywakiem.

Miałem spotkanie z kobietą, lecz na razie była to tylko teoria, wszak w pokoju mógł na mnie czekać zamaskowany, żądny mej krwi zbir z wielką siekierą w dłoni. Musiałem być czujny. Nóż dawał mi poczucie spokoju.

- Pan do kogo? – zapytał zniecierpliwiony portier.
- Do pani Mazzini.
- Proszę iść do recepcji.
- Dziękuję.

Poszedłem, i wnet pokierowano mnie na pierwsze piętro, gdzie moja nieznajoma wynajmowała pokój. Jeszcze chwila, może dwie...

Zajazd „U Drżącego Billa” wewnątrz był dość ekskluzywny jak na zajazd – mógł śmiało pretendować do rangi małego hotelu. Miał wystrój i klasę, choć z zewnątrz prezentował się dość kiczowato i jarmarcznie. Elegancki parking. I solidny bar dla klientów.

Gdybym miał wybierać miejsce na idealną balangę, wybrałbym go bez wahania. Od razu poczułem się tu jak w domu, czemu, nie wiem. Może za sprawą nastroju, jaki tworzyły uśpione w cichym mahoniu ściany. Drzemiące w milczeniu korytarze uspokajały. Miałem wrażenie, że cofnął się czas i znów jestem przy ognisku, wraz ze skautami.

To był dobry zajazd – niczego sobie i całkiem stylowy.

Ruszyłem dalej.
W końcu znalazłem pokój numer cztery.
Tu mieszkała Mina.
Delikatnie zapukałem.

Wyplułem gumę do żucia na dywan jak osobnik, który właśnie idzie do dentysty.
Jednocześnie jak ktoś, kto boi się otworzyć drzwi.
Jednak to zrobiłem.
Nie wiedząc, co tracę, nie wiedziałem, co traciłem.

To dodało mi skrzydeł.

- Proszę! – usłyszałem głośny, kobiecy głos.

To była ona.

Przez chwilę poczułem się nieszczególnie, jak młokos, który zgubił w szatni kaptcie. Miałem w głowie zamęt. Nigdy tak się wcześniej nie czułem. Cekał mnie przecież swoisty debiut.

Po chwili wróciłem do siebie i byłem już w swojej skórze. Spojrzałem w lustro mojej wyobraźni. Ujrzałem tam siebie, pięknego, umięśnionego i zabójczego jak grecki bóg.

Wszedłem do pokoju.

Panował tu nastrojowy półmrok. Nie paliło się żadne światło. Tylko kilka kolorowych świec, rozstawionych w kątach na małych miskach, według pewnego zamysłu, aby pomieszczenie nie było zbyt jasne, raczej tonące w tańczących na ścianach cieniach i blaskach. Wszystko to miało stworzyć atmosferę tajemniczości i zmysłowości, której nie dałaby zwykła żarówka.

- Dobry wieczór – rzekłem drewnianym głosem, dziwiąc się samemu sobie, że nie zdobyłem się na bardziej adekwatną do sytuacji reakcję, jak choćby radosne zawołanie w stylu bezpretensjonalnej młodzieży naszych czasów. Ja jednak pozostałem starozakonny.

- Wejdz, Mike – usłyszałem jej głos.

Cicho zamknąłem za sobą drzwi.

Przez chwilę trzymałem w dłoni klamkę jak coś, co miało dodać mi otuchy.

Czemu tak pomyślałem?

Przecież mogłem tu być jako gość nie z tej ziemi, jako super persona, dla której przygotowano coś ekstra.

Nie musiałem zakładać z góry ataku na swoją osobę.

Dlaczego więc podejrzewałem istnienie jakiegoś bliżej nieokreślonego negatywu?

- Podejdz bliżej – wyszeptała.

Kiedy spojrzałem w głąb pokoju, ujrzałem ją – stała przy oknie.

Była naga.

W ręku trzymała kieliszek czerwonego wina.

Uśmiechała się.

Nie był to jednak uśmiech przewrotny i diaboliczny, był raczej spokojny i wyciszony.

Było w nim coś z naturalnej pewności, że można mieć to, co chciałoby się mieć.

W jej oczach dostrzegłem wnet zaskakujące opanowanie i duchową ciszę.

Nie emanowała pierwotnym erotyzmem, nie była we władaniu zmysłów.

Z pewnością nie była też pijana.

Pomimo pozornej śmiałości jawiła mi się jako kobieta delikatna i subtelna, z czym mocno kontrastował dość niecodzienny widok, który ujrzałem w pokoju, lecz w owym czasie miałem w głowie spory zamęt, uniemożliwiający mi szybkie i logiczne myślenie. Przyjmowałem rzeczy takimi, jakimi były. Wszystko działo się przecież tak prędko. Za prędko jak na mój gust. Jednakże starałem się jakoś trzymać pion i rozmyślałem, jak tu przejąć kontrolę nad sytuacją, która porwała mnie jak rwąca rzeka.

W końcu spytałem spokojnie:

- Dlaczego pani jest naga?

- Nie domyślasz się? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Ani trochę – blefowałem na całego, wiedząc doskonale, że jeśli kobieta umawia się z mężczyzną w zajeździe i wita go bez ubrania, ma najwyraźniej na niego ochotę.

- Podobam ci się?

- Owszem.

- On się o niczym nie dowie.

- Kto?
- Mój mąż.
- To pani...
- Mów mi po imieniu.
- Dlaczego to robisz?
- Jesteś taki podobny do mego ojca...
- Już to słyszałem. To nie może być jedyny powód.
- Czy to ważne?
- Dla mnie tak. Nie lubię niejasnych sytuacji.
- Chyba wszystko jest jasne, tak mi się wydaje. Nie zadawaj tych wszystkich pytań. To niepotrzebne. Szkoda czasu. Porozmawiamy potem.
- Potem? – nagle coś się we mnie obudziło. Gwałtownie i wyraźnie. W jednej sekundzie rozjaśniło mi się w głowie. Już wiedziałem, jak przejąć kontrolę nad osobliwą sytuacją, w której zdawałem się być tylko pionkiem. Nie podobało mi się to, nie było to w moim stylu. Nadszedł teraz czas na mój ruch. Kategoriecznym głosem poleciłem jej ubrać się i twardo zaznaczyłem, że jeśli tego nie zrobi, natychmiast opuszczę pokój. Choć była piękną kobietą, mogącą bez wątpienia podobać się każdemu, ja wyżej ceniłem własną przewagę, niż chęć zaspokojenia chwilowych namiętności. Zachowałem chłodny umysł, co nie było w obecnej sytuacji łatwe. Ulegając jej, straciłbym całą swoją siłę. Nie chciałem tego. Poza tym zawsze lubiłem stawiać na swoim.
- Nie rozumiem cię – rzekła z niewyraźną miną ubierając się. – Zachowujesz się dość dziwnie...
- Nie sędzę – odparłem twardo, ciesząc się w duchu, że sprawy przybrały dobry obrót.

W tamtej chwili nie miałem bowiem na nią jeszcze konkretnego planu – nie byłem pewny, czy aby na pewno chcę poznać ją bliżej, pozwolić swobodnie rozwinąć się tej niezwyklej, intrygującej znajomości, czy też uciąć wszystko w zarodku i wrócić spokojnie do swojego życia.

Nie przepadałem zbytnio za zdecydowanymi kobietami, które lubią przejmować inicjatywę – to ja chciałem zawsze być tym, który rozdaje karty, tylko wtedy mogłem czuć się bezpieczny i moja męska pozycja nie była niczym zagrożona. Nie chciałem paść ofiarą jakichkolwiek manipulacji, co w moim przypadku i przy moim charakterze było raczej mało prawdopodobne i chyba niewykonalne. Ale lichy nie śpi. Trzeba być zawsze czujnym. Nie zaszkodzi.

- Dlaczego wspomniałaś o mężu? W takich, jak ta sytuacjach, większość kobiet zataiłaby ten ważny fakt. Po co o tym trąbić.

Roześmiała się szeroko, pokazując piękny garnitur śnieżnobiałych zębów.

- On jest policjantem. Kapitanem. Wiele może. Ludzie się go boją. Nazywa się Parker.
- Nie kochasz go? – spytałem.
- Nie wiem. Poznałam go mając osiemnaście lat, kiedy był we Włoszech na wycieczce. Zabrał mnie stamtąd. Jest ode mnie starszy o dwadzieścia lat. Dzięki niemu wyrwałam się z biedy.
- Ach tak. To wzruszające.
- Tak było.
- Czy często podrywasz facetów w parkach?

Słyszając to uśmiechnęła się ponownie, jakby wcale niezaskoczona moim pytaniem, jak gdyby było ono na temat pogody, czy najnowszych trendów w modzie, i spokojnie odpowiedziała:

- Ty jesteś pierwszy.
- Bajki!
- Poważnie. Zrobiłam to po raz pierwszy. Spodobałeś mi się od samego początku. Obserwowałam cię przez jakiś czas. Byłam pewna, że zrobię ten krok, i zrobiłam.
- Nic o mnie nie wiesz.

- Może pozwolisz mi na to później.
- Później?
- Kiedy się bliżej poznamy.
- Skąd masz tę pewność, że będzie dalszy ciąg?
- Kobięca intuicja – mówiąc to uśmiechnęła się rozbrajająco.

Rozmawialiśmy tego wieczora dość długo, jakby obok nie upływały kolejne godziny, lecz przez cały ten czas starałem się mieć nerwy na wodzy i nie dać się ponieść emocjom, ani też wierzyć w każde jej słowo. Coś szeptało mi bowiem do ucha, że nie wszystko, co mówi, jest prawdą. Może i ja miałem coś na kształt intuicji? Nie potrafiłem oprzeć się przemożnemu uczuciu, że tak właśnie sprawy wyglądały.

Muszę przyznać, że zaczynała mi się podobać.

Miała coś w sobie, co mnie pociągało. Może to jej subtelność, delikatność i uległość? Czułem, że działa na mnie, że dobrze się czuję w jej towarzystwie i nie będę miał nic przeciwko temu, by moja nieznajoma stała się moją znajomą. Tego się nie spodziewałem. Nie byłem na to nawet przygotowany. Nie szukałem nikogo, mając chwilowo dość kobiet. Chciałem zrobić sobie krótkie wakacje od wszelkich znajomości, lecz życie jest nieprzewidywalne i zaskoczyło mnie w najmniej oczekiwanym momencie.

Nie udało się – Mina weszła w mój świat pewnym krokiem i pozostała.

Zaczęliśmy się spotykać.

W parkach, w knajpkach, nad rzeką.

Chciałem ją poznać jako człowieka, na poznanie jako kobiety miałem jeszcze wiele dni, tygodni i miesięcy i jej przyzwolenie. Nie śpieszyłem się wiedząc, że czas działa na moją korzyść. Im bardziej będę odwlekać moment fizycznego zbliżenia, tym więcej dostanę. Tak jest, było i zawsze będzie.

Płeć piękna nie była dla mnie wszak żadną tajemnicą. Miałem w życiu wiele kobiet.

I pokąsną wiedzę. Nauczyłem się perfekcyjnie sztuki manipulacji, aby nie paść ofiarą miłości, która nawet najbardziej opanowanym, zimnokrwistym amantom mogła nieźle zamieszać w głowie, stając się nagle narkotykiem, bez którego nie sposób już normalnie żyć.

Czytałem pasjami Schopenhauera, czerpiąc garściami cenne rady.

Choć znajomość ze mną bywała dla większości niewiast zgubna i toksyczna, lgnęły one do mnie jak ćmy do światła. To się po prostu działo. Byłem świadom swego magnetyzmu i zamierzałem wykorzystać go teraz w kontaktach z Miną. Rozgrywałem wszystko taktycznie, na spokojnie, na chłodno.

Raz byłem dostępny i miły, innym razem milczący i odpychający.

Bywałem szarmancki, bywałem też gburowaty.

Szeptałem czule słówka, potrafiłem też krzyknąć.

Umawiałem się codziennie tylko po to, by potem zapaść się pod ziemię na długie dni.

Celowo zmieniałem nastroje, udając całą gamę przeróżnych zachowań, by nie dać jej nawet na chwilę poczucia pewności. Wiedziałem, że to działa. I działało – moja znajoma jadła mi z ręki.

Pewnego dnia, tuż po obudzeniu się, zdałem sobie sprawę, że chyba zakochałem się.

Oczywiście „po swojemu.”

To był fakt i nie próbowałem tłumaczyć sobie, że tak nie jest.

To się już stało, zaistniało.

Nie muszę chyba wspominać, że moje rozliczne czary i uroki doprowadziły w krótkim czasie Minę do stanu skrajnie głębokiego zakochania. Stałem się jej światem i pragnieniem.. Widziałem to w jej oczach, słyszałem w słowach, czułem w namiętnych, gorących pocałunkach. Wiedziałem, że mnie pragnie i ma-

rzy o fizycznym zbliżeniu.

I ja chyba byłem już na to gotów.

Czułem, że tym razem wszystko będzie inaczej, jak dotąd, że nic nie będzie już po staremu.

Miałem pewność, że zależy mi na niej, jak chyba nigdy nie zależało mi na nikim w całym moim życiu, i że pomimo faktu mojej zimnej kalkulacji dałem się złapać w jej miłosną sieć.

Staralem się zachować jak największe bezpieczeństwo własne – nie stracić kompletnie dla niej głowy, choć przyznam, że bałem się tego, jako że stan zakochania zakładał przeróżne zachowania odbiegające od normy i poprzez to ryzykowne. Ponieważ był to mój debiut, jeśli chodzi o szczerość uczuć, tym większe były obawy i pogotowie, które utrzymywałem dzień i noc. Znałem kobiety na tyle, by mieć pewność, że z każdej da się zrobić kurtyzanę, z każdej szarej myszki można zrobić królową, która chętnie zapragnie dominować i rozdawać karty. Nie mogłem więc popełnić żadnego błędu i w sposób absolutny odsłonić się z moim zaangażowaniem. Wówczas całą mądrość można by powiesić na gwoździu w ubikacji.

Grałem dalej twardziela, lecz coraz częściej łapałem się na tym, że zawzięcie rozmyślałem o naszej wspólnej, szalonej nocy i wszystkich, tych rozkoszach, które Mina może mi dać.

I o jej mężu.

Coraz częściej.

Snułem plany, jak doprowadzić do ich rozvodu.

Pamiętałem, co powiedziała mi wtedy w zajeździe: „Nie wiem, czy go kocham...”

Chciałem mieć ją tylko dla siebie i usunąć raz na zawsze niechcianego rywala.

Rzecz jasna – jej o tym nie mówiłem.

Lecz kapitan Parker stał się moją obsesją za dnia i nocą, kiedy to miewałem niezwykle plastyczne, pełne dzikiego triumfu sny, w których bezlitośnie dusiłem go, zrzucałem z mostu do rzeki, strzelałem doń z pistoletu lub najzwyczajniej przejeżdżałem samochodem.

Jakoś nigdy on nie wygrywał...

Zacząłem na poważnie żyć myślą, jak go wyeliminować z gry.

I w końcu stało się to, co miało się stać.

Zaproponowałem jej przejażdżkę do zajazdu „U Drżącego Billa”, aby spędzić tam upojną noc.

Była zachwycona.

Umówiliśmy się na weekend – miała powiedzieć mężowi, że będzie spać u koleżanki, która wyjeżdża i pozostawia jej dziecko do opieki. Wersja dość wiarygodna. A więc wszystko jasne.

- On mi uwierzy, jest bardzo naiwny – rzekła z rozbijającą szczerością.

- To mnie cieszy – odparłem w podobnym tonie.

- Nie zapomnisz tej nocy – jej słowa zabrzmiały mocno i zdecydowanie, mało było w nich uczucia, co mnie trochę zaskoczyło. Wypowiedziała je jak pokerzysta, który oznajmia graczom, że ma pewne karty.

- Nie wątpię – odparłem.

- Nie ma to jak pierwszy raz...

- Właśnie.

- Potem jest już inaczej.

- Potem jest już normalnie.

W weekend spotkaliśmy się „U Drżącego Billa”.

Wcześniej zabrałem ją samochodem spod apteki, gdzie na mnie czekała. Była rozpalona. Dużo mówiła, śmiała się, gestykulowała. Pogwizdywała. Była szczęśliwa – tak pomyślałem.

W radio Johnny Cash śpiewał o straconej miłości, a ja byłem wniebowzięty, że mam dziewczynę, która mnie kocha i na której mi zależy. I ja byłem szczęśliwy tego dnia.

Niebawem zameldowaliśmy się w zajeździe i poszliśmy do naszego pokoju.
Mina postanowiła się odświeżyć i wziąć prysznic. Nie miałem nic przeciwko temu.
Otworzyłem butelkę koniaku i nalałem sobie. Wypiłem. Zrobiło mi się błogo i słodko.
Czułem się jak młody bóg, jak pan na włościach. Świat był mój. Kochałem życie!
Z łazienki dobiegał śpiew i szum wody.
- Ona jest naprawdę fantastyczna – rzekłem do siebie. – Coś niebywałego!

Nigdy nie dowiem się, czemu to zrobiłem.
Nigdy nie poznam odpowiedzi na to jedno, ważne pytanie: dlaczego.
Co pchnęło mnie do tego kroku...
Instynkt, intuicja?
Może.

Dlaczego wtedy naszła mnie nagle i nieznoszącą sprzeciwu chęć zajrzenia do jej torebki.
Tak, właśnie tam!
Mogłem dalej pić koniak i myśleć o upojnej nocy, która była tuż tuż.
Ja jednak doznałem swoistego, spontanicznego olśnienia, nieoczekiwanego psychicznego rozwidnienia, moje zmysły nie uśpił erotyczny czar. Czuwałem cały czas, ja, znawca kobiet. Musiałem być zawsze krok przed nimi i na szczęście byłem.
Po chwili musiałem nalać sobie kolejnego głębszego po tym, co zobaczyłem.
W torebce Miny znalazłem... pistolet z tłumikiem!
Byłem w tęgim szoku, mocno przerażony, najzwyczajniej po ludzku zawiedziony – wszak nie takiej niespodzianki oczekiwałem.
Nie chciałem nawet przypuszczać, po co jej broń i czemu ją tu przywiozła.
Może jest jej potrzebna i ma na nią zezwolenie?
Może mąż policjant maczał w tym palce?
Ta subtelna, delikatna istota miała pistolet!
Przez chwilę nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć i co zrobić, lecz zimna krew mnie nie opuszczała.
Włączyło się awaryjne myślenie.
Poczułem nagle coś na kształt dusznego lęku o własne bezpieczeństwo – nigdy wszak nie byłem tak blisko prawdziwej, autentycznej broni i to właśnie wywołało u mnie lekki atak niepokoju.
Wiedziony nieznaną siłą spokojnie opróżniłem magazynek z naboji, nie licząc się z konsekwencjami – ona będzie musiała wcześniej, czy później domyśleć się, że to właśnie ja wyjąłem kule. Ale nie dbałem o to.
Nie w tamtej dziwnej chwili. Nie chciałem być w sąsiedztwie nabitego pistoletu.
Może jej wcale nie znałem, może poznałem na tyle, na ile mi na to pozwoliła, i na ile to jej pasowało.
Czyżbym po raz pierwszy w życiu trafił na kogoś, kto zadecyduje zamiast mnie i postawi na swoim? Jednak poczułem niesmak. Nawet ból. Dałem się wyrolować. Nie znałem jej. Uśpiła po drodze moją czujność, ale kiedy, jak i gdzie? Teraz nie czułem się panem sytuacji, zawiedziony jej obrotem.

Myśli kotłowały się pod czaszką.
Myśli nerwowe, gwałtowne, dzikie.

Postanowiłem nie psuć wieczoru i robić dobrą minę do złej gry, jeśli taką miała się okazać.
Byłem pomimo wszystko przygotowany na najgorsze, czymkolwiek by nie było.
Naboje schowałem do kurtki, zamknąłem torebkę i piłem dalej koniak.
Tylko kącik ust drgał mi nerwowo...

- Może nosi go dla własnego bezpieczeństwa? – stęknąłem pod nosem. – Tylko po co jej ten zasrany tłumik? Przecież na to nie dają zezwoleń... To jest chore, bardzo chore.

- Kochanie, nie pij beze mnie! – zawołała z łazienki.

- Nie piję, tylko udaję – wymamrotałem nieczysto.

- Jeszcze mi się spijesz i co wtedy?

- Nie, nie spiję się. Masz to jak w banku.

Potem wyszła owinięta ręcznikiem i mówiła z prędkością światła. Była ostro nakręcona. Jej oczy błyszczały jak dwa diamenty i tylko mnie nie było do śmiechu.

- Idź się wykąp – powiedziała.

- Dobrze – odparłem, choć w owej chwili mój mózg pracował na pełnych obrotach. I zaczęła śpiewać kawałek Johnny'ego Casha „I still miss someone”.

Rozebrałem się i poszedłem do łazienki.

Cały czas myślałem, czy zajrzy do torebki i odkryje brak naboju.

Czemu o tym pomyślałem – nie wiem.

Martwił mnie ten tłumik.

I kiedy zacząłem nagle pod prysznicem nucić jakąś melodię, wnet pojąłem, że z moimi nerwami nie najlepiej. Trzęsły mi się ręce. Wypadło mi mydło. Było ze mną lichy...

- Długo jeszcze? – dopytywała się.

- Już wychodzę – krzyknąłem.

- To dobrze – padła odpowiedź.

W chwili, gdy znalazłem się w pokoju, przeżyłem kolejny wstrząs – naprzeciwko mnie stała ubrana od stóp do głów Mina z wycelowanym we mnie pistoletem. Teraz patrzyłem na nią jak na ducha z krainy tysięcy i jednego koszmaru.

Jej oczy nie wyglądały już anielsko – były złe i wredne.

Na zaciętych ustach igrał diabelski grymas.

Czułem, że jest wściekła, jakby moment wybuchu szalu zbliżał się nieuchronnie.

W końcu odezwała się:

- Zabawa się skończyła, skurwielu. Ubieraj się, jedziemy nad rzekę, trochę popływasz, ale już tego nie poczujesz – syknęła zawzięcie.

- Co jest? Gdzie nasza randka? – udawałem głupka, by zyskać na czasie.

- Lipa. Nie miało być żadnej randki. Rób, co mówię.

- Dobra, tylko opuść to żelastwo.

Ubrałem się.

Udawałem niemotę – czasami tak trzeba.

Cieszyłem się w duchu, że intuicja mnie nie zawiodła i w czas usunąłem naboje.

Teraz nie mogła mi już zaszkodzić.

Szybko, jakby nigdy nic, opuściliśmy zajazd i ruszyliśmy samochodem nad rzekę.

Nikt z obsługi nawet przez moment nie zauważył, że oboje udajemy opanowanych i spokojnych. Nie drgnęło jej nawet oko. Mnie też. Grałem do końca, bez lęku.

Kiedy już jechaliśmy, wyjęła pistolet i przystawiła mi do skroni.

Potem stęknęła przez zęby:

- Będziesz mnie zaraz błagać o życie, mam to od ciebie usłyszeć, rozumiesz? Masz błagać i mówić, że żałujesz, że urodziłeś się mężczyzną, że wolałbyś być od zawsze kobietą.

Gardzisz swoją męskością, tym obrzydliwym fallusem, z którego tryskasz syfem. Potępiasz się za niego. Jesteś psem. Nikim. Ciebie nie ma.

- Wiem, gdzie mieszkasz – nie dawałem za wygraną. – Kiedyś mi mówiłaś. Mąż powinien się dowiedzieć o naszej znajomości i o tym, że masz spluwę.
- Ten głupi pierdziel siedzi w domu i ogląda telewizję.
- Powiem mu o nas.
- Nie zdążysz.
- Tego nie wiesz.
- Wiem. Za chwilę będziesz miał ołów w czaszce.
- Już mnie nie kochasz? – nagle naszedł mnie błazeński humor, by nie powiedzieć, wisielczy.
- Wierzyłeś mi? Jesteś ostatnim dupkiem, biedny narcyzie.

Kiedy byliśmy już nad rzeką, spokojnie wysiadłem, mając pistolet przy głowie, i wnet zacząłem działać. Nie minęła minuta, gdy Mina ciężko osunęła się na ziemię po moim lewym sierpowym, który wylądował na jej szczęcie z nieziemską siłą. Zemdlała. O to mi chodziło. Musiałem wziąć sprawy w swoje ręce i to zrobiłem. Potem otworzyłem bagażnik i wyjąłem sznurek i starą szmatę. Zakneblowałem jej usta i związałem. Podniosłem z ziemi i wsadziłem do samochodu na tylne siedzenie.

- Ani mi się rusz – przykazałem. – Teraz odwiedzimy kapitana Parkera.

Pojechałem do niego, choć Bóg jeden raczy wiedzieć, czemu to zrobiłem.

Był to impuls, którego nie umiałem rozszyfrować.

Żadne inne rozwiązanie nie przyszło mi wówczas do głowy.

Może teraz ja chciałem jej zniszczyć życie, tak jak ona zmieszała moje z błotem.

Może chciałem zwykłej zemsty za tę całą, podłą grę, którą mi zafundowała?

Może...

Nie myślałem nad tym wiele, chciałem pogadać z jej mężem i w końcu poznać prawdę.

Tak, prawdę – kim jest Mina i czemu chciała mnie zabić.

Należało mi się to i nie zamierzałem odpuścić.

Jechałem spokojnie w kierunku Green Street 12, gdzie w domu zapewne siedział kapitan Parker i w spokoju ducha oglądał telewizję.

Za chwilę miał zobaczyć mnie w progu domu.

I zobaczył.

Zadzwoiłem.

Po kilku minutach drzwi otworzyły się i ujrzałem szpakowatego mężczyznę na wózku inwalidzkim. Był zdziwiony. Nie spodziewał się gości. Ze mną jednak musiał pogadać.

Początkowo nie potrafiłem się odezwać – widok wózka uderzył mnie bardziej niż widok spluwy, którą przed chwilą miałem przy skroni.

Poczułem się nieszczególnie.

W końcu odezwałem się pierwszy:

- Kapitan Parker?
- Były kapitan – odparł jegomość spokojnym głosem, jakby nigdy nic.
- Jestem Mike, chciałem porozmawiać o pana żonie.
- Niech pan wejdzie – rzekł chłodno Parker, jakby miał do czynienia z czymś, co nie robi na nim prawie żadnego wrażenia.

Wszedłem i ruszyliśmy w kierunku pokoju jadalnego, jak się później okazało.

Powiedział, żebył usiadł, był bardzo opanowany, nie drgnęło mu nawet oko.

- A więc teraz pan? – rzekł niby od niechcenia. – Widzę, że Mina nie próżnowała. Ale pan nadal żyje!
- Co ma pan na myśli? – spytałem zaskoczony.

- Od dwóch lat jej na to pozwalam. W zasadzie nie mam nic do gadania. Gdyby było inaczej, odeszłaby ode mnie. Już raz chciała, stąd ten przeklęty wózek...
- O czym pan mówi? Chcę dowiedzieć się czegoś bliżej o niej.
- Już pan się dowiaduje. Kiedyś, dawno temu, zrzuciła mnie po pijanemu ze schodów. Jestem sparaliżowany. Kocham ją. Niech robi, co chce, byleby była ze mną.
- To jakiś koszmar... - stęknąłem.
- Całe życie była molestowana seksualnie przez ojca. Bił ją i zamykał w piwnicy. Wyrwałem ją z tego zupełnie przez przypadek. Byłem wtedy na wsi na praktyce.
- Na wsi? To ona nie jest Włoszką?
- Absolutnie nie. Nazywa się Norma Brown i ma zdrowo nie po kolei pod kopułą, ale jak już wcześniej mówiłem, kocham ją taką, jaką jest. Wybaczam wszystko, co zrobiła i zrobi. Mam tylko ją.
- Dlaczego chciała mnie zabić?
- A czy przypadkiem nie mówiła, że jest pan podobny do jej ojca?
- Mówiła.
- Właśnie dlatego. Mści się po swojemu, nie ma na to rady. Ojca zastrzeliła dwa lata temu. Opowiadając o tym, śmiała się do rozpuku. To ja załatwiłem jej lewą broń z tłumikiem. Myślałem, że na nim się skończy, ale ją tak wzięło, że nie potrafiła odpuścić. Jest chora. Coś nie tak z jej mózgiem. To przez to dzieciństwo i nieszczęśliwą młodość. Zabijała dalej. Trzech chyba. Tak mi się coś zdaje. Pan miał być kolejny. Kiedy spotka kogoś podobnego do ojca, nie daruje. Zastrzeli go z zimną krwią i wróci do mnie jakby nigdy nic. Najpierw go w sobie rozbuja, żeby stracił czujność. Pozwoli się ostro zerznąć. Będzie ci ciągnąć druta, dopóki ma pewność, że cię zabije. Lubi to. To jak lizanie brzytwy. Ja jej tego nie dam. Mam policyjne taśmy, jak smażą faceta na krześle elektrycznym. Ona się wtedy masturbuje, ją to bierze. Kocham tego dzieciaka, pomimo wszystko, pomimo tego wózka. Też byłem dla niej podobny do ojca, dlatego chciała mnie sprzątnąć, ale może darowała mi, bo kiedyś pomogłem. Tak naprawdę jej nie znam. Niekiedy tylko wyczuwam. Tak przez skórę. Ma pokręconą duszę, jeśli w ogóle ma jakąś. Czasem robię jej minetę, a potem śpiewa mi kawałki Sinatry i oglądamy seriale. Lubi masować mi jaja.
- To chore... - jęknąłem.
- Żeby pan wiedział. To popieprzona jazda bez trzymanki. Czasem tak się w życiu dzieje i nie ma to tamto. To zasysa jak odkurzacz, to jak pukanie młodych Latynosek na stojaka!
- Pan nie ma wyrzutów sumienia?
- Wyleczyłem się z tego. Tylko ona się dla mnie liczy.
- Ona zabija ludzi!
- A niech tam. Ilu ginie dziennie na wojnach, czy z chorób. Jeden więcej, jeden mniej. To życie. Nie ma zmiłuj. Nikt nie mówił, że będzie różowo. Śmierć jest formą życia. Mówi to panu facet na wózku.
- Pan nie chce wiedzieć, gdzie ona jest w tej chwili? – spytałem nagle.
- A gdzie? Włos jej z głowy nie spadnie, wiem to.
- W moim samochodzie. Związałem ją. Przedtem zabrałem jej naboje.
- O!
- Nie chcę tego zrobić, ale będę musiał.
- A cóż takiego chce pan zrobić? – spytał Parker.
- Powiadomię policję.
- Nie robi pan tego.
- Zrobię.
- Nie.
- A czemu?
- Bo ja pana proszę.

- Ona zabiła ojca i trzy osoby.
- To co? Ja w policji zabiłem ponad dziesięć i mam cholernie zdrowy sen, podczas którego śni mi się Marylin, jak sobie robi dobrze.
- Ale to co innego.
- Nie. Śmierć jest zawsze taka sama. Nie ma dobrej śmierci. Nawet, kiedy pieką faceta na krześle elektrycznym. Niech pan postawi na życie, na życie, za wszelką cenę.
- Wasza cena jest za wysoka.
- Ona nie wie, co to dobro i zło. Nikt jej nie nauczył. W swoim przekonaniu postępuje dobrze.
- Muszę powiadomić policję.
- To nic nie da. Oni ją znają...
- Jak to znają?
- Mam na nich wszystkich kwity. Korupcja, narkotyki, handel bronią, walenie alfonsów na dolę, pieprzenie małaolat, z którymi mają lewe bachory. Wszyscy umoczeni. Dowody trzymam u notariusza, kumpla ze szkolnej ławy, który je ujawni natychmiast, gdyby mnie lub jej coś się stało. Pół policji pójdzie do pierdła, a i przy okazji wielu tzw. porządnym i szanowanym obywateli. Nie tylko mój kumpel ma dowody. Umieściłem kopie u dwóch innych notariuszy, by mieć pewność. Dzwonią do mnie raz w tygodniu i sprawdzają, czy Mina i ja nadal żyjemy. To sztywny układ. Nie ma słabych punktów. Mam zdjęcia, nagrania, papierki. A oni? Leżą i kwiczą. Komendant na czele. Stary ramol bawi się we wszystko, co szmatławne. Myśli fiutem. Skurwiały do bólu. Mina jest wolna. Nic jej nie zrobią, nie ma dowodów i nigdy nie będzie. Każdy, kto jej wejdzie w drogę, wyląduje w rzece w czarnym, foliowym worku. Mam chłopaków od brudnej roboty, każdy z lewą klamką z Kostaryki. Nieźle to zabezpieczyłem, co?
- Pan jest chory...
- Jestem zakochany.
- Pan powinien...
- Nie mów mi, co powinienem, ok.? Puść ją i wracaj do domu. Więcej jej nie zobaczysz. Zapomnij, że ją kiedykolwiek spotkałeś. To koniec. Już po wszystkim. Idź do samochodu. Proszę. Nie rób sobie problemów. No idź już – to powiedziawszy Parker pojechał do kuchni. Wstałem i wyszedłem.
- W samochodzie Mina szarpała się i rzucała. Chciała się wyswobodzić. Wziąłem ją i przerzuciłem przez ramię. Była dość lekka. Przestała się rzucać. Zdała się na mnie.
- Niebawem byliśmy z powrotem w domu.
- Położyłem ją na łóżku, a kapitan rozciął jej nożem więzy.
- Wtedy wyrwała od niego nóż i rzuciła się w moim kierunku.
- Zostaw! – wrzasnął Parker. – On jest niegroźny.
- Ty... - syknęła Norma Brown.
- Idź już, przedstawienie skończone. Ciebie nigdy tu nie było, jasne? Chcesz żyć, prawda?
- Prawda – stęknąłem ciężko.
- No to do domu.
- Czy aby...
- Tak. Nic ci się nie stanie. Umiesz trzymać język za zębami. Przyznaj się: chciałeś ją porządnie zerznąć?
- Tak.
- Wierzę ci.

Od tamtej pory minęło kilka tygodni.

Wciąż nie potrafię pozbierać się i wrócić do rzeczywistości.

Cały czas widzę ich wyraźnie - śnią mi się i budzę się z krzykiem, zlany zimnym potem.

Nie mogę spokojnie myśleć o tym, że ona znowu zaatakuje, a ja nic z tym nie zrobię, nawet się nie do-

wiem.

Czy mogłem postąpić inaczej?

Chcę żyć.

Myślę też o nim...

Jednak obłęd udzielony istnieje, jak mawiają psychiatrzy.

Nie każda miłość jest dobra.

I nie pytam już, gdzie leży granica między dobrem a złem.

Wiem, że leży ona w ludzkim sercu i umyśle.

1 maja 2013

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 13.05.2013 19:58

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.